

Księgi mało Jakubowe

KUBA ATYS / AGENCJA GAZETA



Spektakl Eweliny Marciniak wygląda efektownie, ale rozczarowuje

Zapowiadano wydarzenie sezonu: laureatka Paszportu „Polityki”, reżyserka cenzurowanej jesienią we Wrocławiu przez min. Glińskiego „Śmierci i dziewczyny” wystawia nagrodzoną Nike powieść pisarki, która za swoje poglądy spotkała się z falą hejtu.

WITOLD MROZEK

W chwili gdy w Polsce narasta przemoc i ksenofobia, Teatr Powszechny wystawia tekst o skomplikowanej historii wielokulturowej Rzeczypospolitej. W wersji dalekiej od Sienkiewiczowskiej. Historię o Jakubie Franku, przywódcy żydowskiej sekty, który w imię interesów swoich wyznawców podejmuje polityczną grę z możliwymi tego świata.

O bogactwie wątków powieści Olgi Tokarczuk przypomina jednak głównie długość spektaklu - czteroipółgodzinnego. Ewelina Marciniak jakby nie umiała się zdecydować, czy inscenizować akcję książki jeden do jednego - odtwarzać sceny, sytuacje, dialogi - czy też przerobić te 1,2 tys. stron na skrót, obraz, jakiś nieoczywisty koncept. W efekcie z adaptacji wyszedł bryk przeplatany glamoirem.

Scenografia Katarzyny Borkowskiej przypomina knajpę na krakowskim Kazimierzu, ale powiększoną do monstrualnych rozmiarów: strumienie światła, lustra w pokrytych patyną ramach, otoczone setkami okapujących woskiem świec. A spektakl rozpada się na żywe obrazy. Rozwiązania przyjęte przez Marciniak i dramaturżkę Magdę Kupryjanowicz mimowolnie obnażają najsłabszą stronę powieści, w której obok fragmentów przewrotnych, wciągających czy dowcipnych są partie, które po prostu pchają narrację do przodu, referują źródła, by zapanować jakoś nad przepastną materią powieści. Obrazy Marciniak są irytująco efekciarskie. Jeśli chrzest - to łacińskie modlitwy i tiule skąpane w świetle, jeśli pogrom - to płonące księgi-rekwizyty jak z teatru alternatywnego w starym stylu.

Aktorzy - a idąc do Powszechnego, skład na scenie spotkamy naprawdę dobry - nie mają tu czego grać. Jakikolwiek relacje między postaciami na scenie właściwie nie istnieją. Liczy się ekscytacja tajemniczymi, przepelnionymi erotyką misteriami oraz podstawowa oś narracyjna - opowieść o tym, jak prześladowani zarówno przez Żydów, jak i katolików sabataiści ze sprytem wychodzą z podrzędnej pozycji, a potem sami stają się prześladowcami, by ostatecznie znów popaść w nielaskę. Pokazana z grubsza, bo z założeniem, że widzowie znają powieść.

Kobiety - choć u Tokarczuk postaci kobiece są tak istotne - też tu praktycznie nie istnieją. Z dramatów żony Franka Hany (Julia Wszyńska) czy zbiegłej z domu Gimli (Magdalena Koleśnik) robi się egzotyczna rewia - główny pomysł to eksponowanie skąpanych w rześnym świetle pięknych, (pół)nagich ciał w rytm klezmerskopodobnej muzyki. Marciniak z silnej postaci kasztelanowej Kossakowskiej - u Tokarczuk polityczki wyrastającej ponad swoją epokę - robi irytującą kabotynkę; z barokowej poetki Drużbackiej - mało rozgarniętą dewotkę.

Ale reprezentanci frankistów też jakoś gubią swoje racje, są po prostu piękni i egzotyczni. Jakub Frank (Wojciech Niemczyk) - konia z rzędem temu, kto powie, dlaczego jego postać pociąga za sobą tłumy. Bartosz Porczyk gra tu ks. Chmielowskiego, i awanturnika Moliwę (ze spektaklu trudno zrozumieć, kim właściwie jest ta postać). Porczyk - ostatnio znany z roli Gustawa/Konrada w „Dziadach” Zardary - zmienia się tu w nakręcaną figurynkę. To aktor precyzyjny, formalny, o atletycznych warunkach - tu jednak nie wiadomo, co nim powoduje.

Ratować spektakl próbuje Dobromir Dymecki jako rabin Nachman - sekretarz Franka. Scena jego targów z biskupem (Mateusz Łasowski) to jeden z nielicznych momentów dramaturgicznego napięcia. Nie wiemy jednak, skąd właściwie jego przywiązanie do Jakuba. Oczywiście, takie pytania o psychologię mogą się wydać konserwatywne. Ale jeśli już Marciniak idzie w stronę możliwie wiernego inscenizowania powieści, to tego typu logika by nie zaszkodziła. Albo jakakolwiek inna. ●